

### WSPOMNIENIE Z OKUPACJI

Ponieważ, że znam wspomnienia innych Kolegów z racji, że jestem członkiem redakcji wydawnictwa "Przeżyliśmy Gross-Rosen" ograniczam się w faktach ażeby się nie powtarzać.

Do Niemiec zostałem wywieziony w maju 1944 r./miałem wtedy 15 lat/,pracowałem przy budowie w Hartmansdorf koło Erkner. Uciekałem stamtąd do Polski ale mnie zatrzymano przy przejściu granicy GG koło Kutna. Na pytanie żandarma co ja tu robię odpowiedziałem, że w Warszawie mieszkanie zburzone a ja jadę do Niemiec na roboty. Dali mnie zjeść a na drugi dzień przekazano mnie do jadącego transportu. Znalazłem się w Luckenwalde niedaleko miejscowości Bitterfeld. Po umówieniu się z kol. Gieńkiem Zawodzińskim, którego znałem z W-wy,we wrześniu uciekaliśmy w stronę Szwajcarii. Zatrzymano nas już niedaleko granicy. Na pytanie co tu robimy, ta sama odpowiedź - szukamy pracy. Podaliśmy inne nazwiska - ja Kwiatkowski - on Paszkowski, ale widocznie nam nie uwierzono. Zaprowadzono nas do budynku policji - kazano czekać. Przez ten czas zjedliśmy swoje dokumenty na których były nasze prawdziwe nazwiska. Wzywano nas pojedynczo, przesłuchiowano i dokonano rewizji, przy mnie znaleziono bilet kolejowy z Riry koło Drezna, powiedziałem, że go znalazłem, ale widocznie w to nie uwierzono, gdyż po dwóch dniach pod eskortą zostaliśmy przesłani do Prezydium Policji w Dreźnie. Przez 3 tygodnie przesłuchiowano i bito mnie do utraty przytomności w dzień lub w nocy. Straciłem zęby i byłem cały siny i pokaleczony. Siedziałem na zmianę raz w celi suchej tak, że z gorąca pękały wargi, raz w celi, gdzie była woda na podłodze. W październiku 44 r. zostałem przesłany razem z kol. Gieńkiem do Gross-Rosen. Straciłem nazwisko, stałem się numerem. Przesłani zostaliśmy na blok 10. Blokowym był Tadek - Polak. Zaraz w tym samym dniu lub nazajutrz po przybyciu stało nas kilku przed blokiem; przechodził esesman, ja nie zdjąłem przed nim czapki i nie stanąłem na baczność - Niemiec zaczął krzyczeć i wtedy podbiegł do mnie blokowy i uderzył mnie w okolicę żołądka, zrobiło mi się ciemno i poczułem ból. Za pewien czas zawołał mnie do swojego pokoiku i zaczął przeproszać, tłumaczyć i wypytywać się skąd zostałem przywieziony, odpowiedziałem że z W-wy a ostatnio z więzienia i pokazałem mu swoje plecy i ręce. Do pracy w kamieniołomach nie chodziłem, sprzątałem w bloku, koło bloku, latrynę która była w pobliżu bloku oraz przywoziłem posiłki. Ale przed samym wyjazdem byłem w pracy w kamieniołomach raz lub dwa razy. Tak że znam tę pracę nie tylko z opowiadań. Do pracy i z pracy szliśmy kolumnami po 5 osób w rzędzie w tempie marsza, "na baczność". Zmorą obozową były apele szczególnie te wieczorowe. Stanie w samych pasiakach, obojętnie czy to było zimno, padał deszcz lub silny wiatr. Nieraz staliśmy do późna w nocy podtrzymując chorych lub martwych kolegów aż Niemcom zgadzał się stan. Koło naszego bloku były podwójne druty kolczaste pod napięciem, a pomiędzy nimi tory po których więźniowie z karnej kampanii wozili kamienie. Zawieźli w jedną

stronę wagonik; przez przechylenie wyładowali. Załadowali na powrót tę samą porcję i tak przez cały dzień. Niektórzy nerwowo nie wytrzymywali, szli na druty - ginęli. W początkach listopada 1944 r. zostałem przewieziony na komando Gablonz. Był to transport około 500 osób. Byli to uprzednio wybrani fachowcy. Ja wówczas byłem uczniem gimnazjum mechanicznego z Warszawy w zawodzie frezera. Zostałem przydzielony na dział frezerski. Działy były od siebie odgradzone siatką tak, że z działu na dział nie można było przejść. Było to także niemożliwe ze względu na obecność kapo, wartowników lub majstra, któremu trzeba było się meldować przy wyjściu za swoją potrzebą. Poza tym każdy z nas miał przyczepioną do pasiaków /oprócz numeru więźnia/ okrągłą blaszkę o śr. 40 lub 50 mm malowaną na kolor, który obowiązywał na danym dziale; np. frezerzy biały kolor, tokarze czerwony kolor itp /lub odwrotnie/. Zresztą czasu na chodzenie nie było, a można było narazić się na dodatkowe bicie. W fabryce wykonywaliśmy części do pistoletów automatycznych /typ szmaiser - rozpylacz/i części do reflektorów. Zorientowałem się od początku, gdyż po szkole umiałem czytać rysunek jak i znałem trochę język niemiecki. Pracowaliśmy na dwie zmiany od 6<sup>00</sup> do 18<sup>00</sup> i od 18<sup>00</sup> do 6<sup>00</sup>. Nie było specjalnej grupy sabotażowej ale psuliśmy co się da; - detale lub narzędzia skrawające. Na baraku rozmawialiśmy o tym i w zaufaniu jeden drugiemu przekazywał jak można psuć nie narażając się na represje ze strony nadzoru. Wykonywaliśmy dla siebie cygarniczki, pierścionki, nożyki i tp. W moim wieku było kilku chłopców razem z ojcami, a mną że tak można to nazwać opiekował się Gurgul Kazimierz z Nowego Sącza /piekarz/ z którym pracowałem na jednej zmianie. Można było dostać pałkę gumową lub drewnianą, wyróżniał się tym mały wzrostem i koślawy, którego zwaliśmy "piplem". Będący na funkcji w Gablonz Jaszka i Ukrainiec Szaszka byli także postrachem więźniów /jeden z nich jak się później dowiedziałem został rozstrzelany przez Czechów/. Zmorą naszą były wszy, któregoś dnia kapo zapowiedział, że za 2 wszy daje papierosa i tak było. Zebrało się dużo więźniów jak najbliżej światła, ja także i swoje wszy dałem jednemu lub dwóm kolegom, gdyż ja nie paliłem papierosów. Kapo zebrał tych wszystkich na środek baraku i zamiast papierosów kazał skakać żabką, naokoło stali wszyscy funkcyjni i bili czym kto miał i gdzie popadło. Dużo kolegów było ciężko pobitych i skopanych. Proszę wyobraźcie sobie moje uczucie, do dzisiejszego dnia mam wyrzuty sumienia i jak załatwiam jakąś sprawę analizuję czy nie skrzywdzę innej osoby. Dobrze tego nie pamiętam, ale w jakieś święta otrzymywaliśmy dodatkowo po trzy lub cztery ziemniaki w mundurkach z tego 1 lub 2 nadawały się do zjedzenia, ale dla nas był to rarytas i wszystko było zjadane. Kilka razy byłem obierać brukiew /ziemniaki dla Niemców/. Przychodząc z obieralni küchenkapo kazał nam przemyć kawałki brukwi i ziemniaki składać na kupkę i byliśmy poddawani rewizji, przy kimś coś znaleziono - baty. Küchenkapo gotował nam zupę z tych produktów raz jednego na psa. /Słyszałem że tego psa zabił Kazio Jastrzębski ale jak było naprawdę nie pamiętam/. Zupa ta była ugotowana w kotłach przeznaczonych do gotowania bielizny ale jak sobie przypominam pranie odbywało się przez zamaczanie i wkładanie na siebie mokrego ubrania. Blockführerem był esesman ze Śląska, poprawnie władający językiem polskim, nazywaliśmy jego "pięćdziesiątka" /gdyż za przewinienie kazał dawać tyle batów - 25/, i nie wiem dlaczego kazał nam śpiewać w ojczystym języku "Góralu czy ci nie żal..." śpiewaliśmy tę arię za barakiem na małej polance jednocześnie susząc na sobie "uprane" pasiaki. Staliśmy

tak na śniegu i chętnie to śpiewaliśmy. W czasie takiego jednego śpiewania blockfurer zakatował na śmierć jednego z więźniów dlatego, że ruszał ustami a nie śpiewał /nie był to Polak więc skąd mógł znać słowa tej piosenki/. Uczono nas piosenek w języku niemieckim, jedna z nich wychwalała przełożonych, druga zaś była w rytmie marsza i mówiła o tym, że jesteśmy dobrymi pracownikami i chętnie pracujemy.

Wir heute fröhlich singen  
Seit grgrüsst vieltausen mal  
Der heutige Tag zum ehren  
Das singen das ist lauter shall  
Tra la la tra la la

Wir sind Arbeiter von Lager Reinowitz  
Darumran alle Mann  
Früh um sechs fängt bei un die Arbeit an  
Darum ran alle Mann.

Tę ostatnią piosenkę śpiewaliśmy chodząc naprawiać tory kolejowe.

Na krótki czas przed wyzwoleniem skaleczyłem sobie nogę, zaczęła mnie puchnąć i ropieć. Zgłosiłem się na rewir ale sanitarium Adam nie kazał pokazywać tej nogi doktorowi, pomagał mnie w jakiś sposób owinął bandażem papierowym i kazał iść do pracy. Nadszedł dzień wyzwolenia była to dla mnie potrójna radość urodziłem się 7 maja, imieniny 8 i wolność. Przy pomocy kolegów z ledwością doszedłem do Tanwaldu. Pozostanie na rewirze jak i nienadążanie iść razem z kolumną groziło śmiercią, takich esesmani bezpardonowo zabijali. Ludność czechosłowacka witała nas serdecznie, wynosili nam do jedzenia co kto miał. Widziałem jak jeden więzień wypił prawie cały kubełek polewki /zupy/ i w męczarniach skonał. Zostałem umieszczony w szpitalu /budynek szkolny/ w Żelaznym Brodzie dowiedziałem się, że mam w nodze gangrenę. Dostałem świeżą krew. Poza dyplomowanymi pielęgniarkami opiekowała się mną Adela Duchaciova-mieszkanca Żelaznego Brodu. Jak już się dobrze czułem byłem kilka razy u jej rodziców w domu.

W m-cu lipcu 1945 r. wyposażony w zapasowe ubranie /mundury polniemieckie/ dwie pary butów, bieliznę osobistą i pościelową oczywiście i w jedzenie serdecznie żegnany wyruszyłem do Polski. Po przekroczeniu granicy, pod pozorem szukania broni zostało mi wszystko zniszczone lub wyrzucone przez okno jadącego wagonu. Nawet taki mały domek ze szkła, który dostałem na pamiątkę od Adeli został rozbity a druciki złotego koloru wzięte jako "złoto". Przy pomocy współwięźnia Rosjanina, który miał na imię Paweł zgłosiłem ten przypadek do NKWD - obiecali pomóc albo jak ich zobaczę zgłosić. Chodziłem po danej miejscowości /obecnie nie pamiętam tej nazwy/ pamiętam, że to była stacja końcowa i było dużo torów kolejowych. Za jedzenie ludzie kazali sobie płacić, a ja nie miałem pieniędzy ani w ogóle nic poza tym co na sobie: mundur polniemiecki, buty i bieliznę. Mówiąc, że wracam z obozu śmieli się ze mnie. Dowiedziałem się, że będzie pociąg do Warszawy już od stacji nie odchodziłem a po sformowaniu pociągu wsiałem do wagonu i dojechałem do stolicy. Chociaż obiecałem, że niedługo powrócę do Adeli -obietnicy nie dotrzymałem, gdyż musiałem się zająć dwojgiem młodszego rodzeństwa, którzy byli sierotami. Z Adelą kilkakrotnie wymienialiśmy korespondencję. Kiedy była wycieczka do Żelaznego Brodu dowiedziałem się, że już nie żyje.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.12.



Żelazny Brod. Cmentarz. Czarna marmurowa tablica na zbiorczej mogile więźniów zmarłych po wyzwoleniu w maju 1945 roku w szpitalu Czeskiego Czerwonego Krzyża. Nazwiska są wykazane w spisie więźniów obozu Gablonz z zaznaczeniem: zmarł w Żel. Brodzie, maj 1945 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.18



Grupa więźniów Polskich często odwiedza miejsca martyrologii więźniów Gross-Rosen w Czechosłowacji. W maju 1978 roku wy-cieczka z Warszawy odwiedziła Żelazny Brod. Na zdjęciu delegacja z wiązanką kwiatów w drodze do zbiorowej mogiły. Od lewej Franciszek Zalega, Stanisław Kućzewski, Henryk Uchman

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.29